

PIERGIORGIO
PULIXI

WYSPA DUSZ



Nie ufaj pięknu Sardynii. Kryje się w nim mrok.

Przełożył Tomasz Kwiecień



PIERGIORGIO
PULIXI

WYSPA DUSZ

PRZEŁOŻYŁ
Tomasz Kwiecień

MO
VA

TYTUŁ ORYGINAŁU:

L'isola delle anime

Redaktor prowadzący: Wojciech Ciuraj

Wydawca: Wojciech Ciuraj

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Magdalena Kawka

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © petr / Stock.Adobe.com, © wuttichok / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2019 by Piergiorgio Pulixi

Copyright © 2026, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-379-4

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



1

Dolina rzeki Aratu, Górna Barbagia, Sardynia, 1961

Pies zwiertzył krew z odległości kilkuset metrów. Wilgoć nocy wyostrzała zapachy śródziemnomorskiej makii, podkreślała i tak już oszałamiający przepych woni mirtu, czystka, poziomkowca, janowca i macierzanki. A jednak w charakterystycznym dla tych gór bukiecie aromatów, który wiatr przyniósł do pokoju przez lufcik w zepsutym oknie, zwierzak bezbłędnie wychwycił coś jeszcze: kwaśną, żelazistą woń ludzkiej krwi. Nastawił uszy, podniósł się na łapach i wydał z siebie głucho warknięcie.

Chłopiec obudził się i kazał psu spać. Zwierzę zdawało się go nie słyszeć: jakby przyciągane przez jakiś tajemny zew, wyskoczyło z pokoju i wybiegło przed dom. Popędziło w stronę lasu rosnącego na tyłach domostwa, za strużką zapachu odcinającego się od ziemistych woni podszytu i wilgotnych aromatów ziół skropionych rosą. Gruczolny węchowiec prowadził psa niczym radar. Biegąc przez porośniętą starymi dębami gęstwinę, poranił sobie boki w labiryncie dzikich jeżyn, ale to go nie zatrzymało. Im bliżej był źródła tego zapachu, tym ostrzejszy i gwałtowniejszy się on stawał, jakby krew przemieniała się w przeszywający krzyk. Zwolnił, gdy znalazł się u stóp skalistego zbocza, na polanie porośniętej nielicznymi drzewami. Ta wolna przestrzeń otoczona była poziomkowcami, wiekowymi dębami i jałowcami starymi jak same góry. Korony drzew przestały szumieć. Ucichło nawet

brzęczenie owadów, zatopiło się w nienaturalnej ciszy, która niczym zakłęcie otulała ukrytą wśród wzniesień polaną. Garbaty księżyc zlewał z wysoka srebrzyste światło, a ono padało na sylwetkę istoty ludzkiej okrytej owczą skórą i obleganej przez roje muszek.

Kundel z przestrachem rozejrzał się wokół. Opasana naturalnymi skalnymi stopniami, gdzie rozgościły się mchy i porosty, chroniona przez obfitolistne gałęzie drzew zdających się stawać w jej obronie, wznosiła się tam starożytna kamienna budowla, pożerana przez gęsty mur splątanych roślin; była niczym trachitowa wagina w zagłębieniach skalnej ściany. Z wnętrza świątyni wydobywał się welon niebieskawej mgły, a pies usłyszał gulgotanie wody. Dotąd zawsze trzymał się z daleka od tego miejsca, nawet w najbardziej piekielnych godzinach lata, gdy nękało go nieznośne pragnienie. Miejsce to, owiane żałobnym, grobowym spokojem, wchłonięte przez zmysłową roślinność, emanowało czymś złowrogim. Psie zmysły krzyczały, żeby stamtąd odszedł, a jednak z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić. Postanowił naruszyć tę niewidzialną granicę. Zbliżył się do istoty ludzkiej na kilka kroków. To była kobieta, naga pod owczą skórą. Z rany na jej gardle, wilżąc ziemię, kapiała krew. Ręce miała związane za plecami. Znajdowała się w centrum megalitycznego kręgu, przed świątynią chroniącą świętą studnię. Teraz szmer wody wewnątrz budowli był jeszcze głośniejszy. Nad wciąż ciepłymi zwłokami unosiła się śmierć; pies niemal słyszał jej głos uwięziony wśród gigantycznych kamieni. Jedna ze stel, okazalsza od innych i ozdobiona płaskorzeźbą półksiężycą, jarzyła się bladą poświatą, jakby kamień patrzył lodowatym wzrokiem na pozbawione życia ciało.

Psie łapy drżały jak witki na wietrze. Zwierzak czuł w nozdrzach kwaśną woń niebezpieczeństwa. Wiedział, że nie należy do tego miejsca, że samą swoją obecnością narusza prastarą równowagę. Boki bolały go od otarć, których się nabawił, gnając przez makie, jednak fizyczna dolegliwość była niczym wobec paraliżującego strachu. Wszystkie dźwięki ginęły, zagłuszone łomotem bijącego w szalonym tempie serca.

– Angheleddu! – Głos wołającego go dziecka usłyszał dopiero wtedy, gdy podeszło na kilka metrów.

Odwrócił się gwałtownie. Zobaczył, jak jego mały człowiek się zbliża i zatrzymuje kilka kroków przed skuloną na ziemi kobietą. Zapach otulających ją skór był tak silny, że tłumił woń wydzielin ziemi i ciała. Tak intensywny, że pokrył nawet cierpki zapach adrenaliny i strachu emanujący z ciała dziecka.

Angheladdu wydał z siebie głuchy skowyt, jakby chciał odwieść malca od podejścia do ofiary i sanktuarium.

Była to jedna z nocy tak chłodnych, że pękały wargi i knykie. Dziecko drżało, ale nie z zimna: widok leżącego na ziemi ciała stłamsił wszelkie inne doznania. Poza krwią spływającą kamiennymi kanałkami w stronę studni był jeszcze jeden przerażający szczegół: zwłoki miały twarz zakrytą drewnianą maską z długimi, ostrymi rogami; przypominała mu maski z wiejskiego karnawału, na który kiedyś zabrał go ojciec – wówczas jeszcze przez wiele tygodni zakłócały mu one sen. Założyłby się o wszystkie swoje dziecięce skarby, że twarz kobiety zakrywała *carazza 'e boe*, maska byka.

Sparaliżowany strachem nie mógł oderwać wzroku od gęstych ciemnych włosów kontrastujących z bladą skórą kobiety i owczym futrem.

Pies stanął przed chłopcem, jakby chciał chronić go przed tym widokiem, i zaczął napierać pyskiem, żeby stamtąd odszedł.

Nagły dźwięk sprawił, że pies i dziecko zadrżeli. Dochodził z wnętrza świątyni otoczonej teraz całunem mgły niemal całkowicie uniemożliwiającej widzenie.

W migotliwym świetle gwiazd listopadowego nieba trudno było dostrzec kontury sanktuarium. Chłopiec dopiero niedawno przeniósł się tu wraz z ojcem węglarzem i choć zdążył już dokładnie zbadać okoliczne góry, to nigdy wcześniej nie trafił do tego starodawnego miejsca, jakby sama roślinność chciała zamaskować jego istnienie.

Wykonał ruch w stronę studni, ale pies zagroził mu drogę.

Rozległ się ciężki odgłos kroków. Ktoś wychodził po schodach na powierzchnię. Każdemu krokowi towarzyszyło ostre metaliczne dzwonienie.

Pies i dziecko znieruchomieli, jakby sparaliżowani jakimś zaklęciem. Z sercem w gardle zobaczyli, jak kurtyna mgły rozstępuje się

przed gigantycznym stworem wychodzącym z wnętrzości ziemi na jej powierzchnię niczym pierwotne leśne bóstwo zbudzone z długotrwałego letargu. Stwór miał ludzki, choć monstrualny wygląd, jego twarz również zakrywała maska o długich koźlich rogach, jeszcze bardziej przerażająca za sprawą migotliwego światła trzymanej w ręku pochodni. Odziany był w ciężki płaszcz z niewyprawionych kozich skór, spięty w talii grubym pasem. Na szerokich ramionach dźwigał pęk żelaznych dzwonków, a w lewej ręce, bez wątpienia ludzkiej, trzymał nóż o zakrzywionym ostrzu, wciąż wilgotny od wody i krwi. Głowę okrywała mu czarna kobieca chusta, podobna do tej, którą nosiła babcia chłopca, nogi zaś, grube i długie niczym pnie dębu, ochraniały skórzane nogawice i wysokie czarne buty, podobne do *cusinzos*, które wkładał jego ojciec, gdy wychodził w pole.

Gigant ich dostrzegł, ale ta obecność zdawała się go nie obchodzić.

Anghelèddu i chłopiec stali jak skamieniali. Patrzyli, jak stwór zbliża się do kobiety i zdecydowanym ruchem obnaża jej zakrwawione plecy, odkłada na bok pochodnię, wyciąga zza pasa barani róg i wylewa z niego odrobinę wody na skórę swej ofiary, odsłaniając przy tym świeże nacięcie o promienistym kształcie przypominające *sa pintadera*, którą matka chłopca pieczętowała surowy chleb, nim włożyła go do pieca. Potem, jakby czekał na jakiś sygnał, podniósł zakrytą maską twarz ku rozgwieżdżonemu niebu. A ono zdało się naprawdę odpowiadać, bo po krótkiej chwili znów wzmógł się wiatr, hucząc wśród drzew niczym wściekła bestia.

Chłopiec poczuł się tak, jakby coś w lesie obudziło się z długiego snu, a ten lodowaty oddech wysysał z niego duszę.

Spod ciężkiej drewnianej maski gigant dudniącym głosem wyrecytował coś, co brzmiało jak modlitwa do gwiazd: *A una bida nche l'ant ispèrdida in sa nurra de su notte. Custa morte est creschende li lugore a sa luna. Abba non naschet si sàmbene non paschet.*

Malec zrozumiał tylko znaczenie kilku z tych słów: woda, śmierć, księżyc, krew. jednak sam ton demona wystarczył, by ogarnęła go niejasna bojaźń, jakby ten rodzaj modlitwy otworzył otchłań zamieszkaną

przez *sas animas* – dusze. Ów pierwotny język nie przemawiał do umysłu, lecz do trzewi. Do trzewi człowieka i do trzewi ziemi.

Angheleddu przezwyciężył paraliż i zaczął warczeć.

Bóg-bestia odwrócił się do psa, pochylił i wyciągnął monstrualną dłoń. Na jej wierzchu chłopiec dostrzegł jasną bliznę w kształcie półksiężyca; zobaczył także blask stalowego ostrza i zamknął oczy w obawie przed najgorszym. Olbrzym nie miał jednak morderczych zamiarów; pogłaskał tylko psa, który znów znieruchomiał, zahipnotyzowany mrocznymi zagłębieniami koźlej maski.

Kiedy chłopiec otworzył wilgotne od łez oczy, ze zdumieniem zobaczył kundelka przy swoich nogach. Olbrzym ukoronował głowę kobiety wieńcem z liści i oddalił się wolnym krokiem w stronę lasu, aż pochłonęła go ciemność.

Chłopiec usłyszał trzask ognia, nim jeszcze zobaczył światło. Płomienie zaczęły pożerać makie, języki ognia lizały drzewa. Kilka chwil później otoczyły całe sanktuarium.

Angheleddu chwycił zębami spodni chłopca, jakby chciał go wyrwać z katatonii.

Wściekle szczekanie było dla malca ledwie słyszalnym dźwiękiem w tle. Wpatrywał się w zwłoki kobiety, do których zbliżał się płomień. Dopiero zaciskające się na jego łydce psie zęby pomogły mu opuścić bagniste głębinę nieświadomości i wrócić do zmysłów. Ogień pochłonął już sporą część zbocza. Gęsty czarny dym zawisł w powietrzu, wyciskając łzy z oczu, podmuchy gorąca stawały się coraz trudniejsze do zniesienia. Jeszcze chwila, a zamknęłaby się przed nimi droga ucieczki.

Chłopiec pobiegł w tę stronę lasu, której pożar jeszcze nie ogarnął, nie odwracając się i nie patrząc już więcej na zwłoki pochłaniane przez ogień niczym na stosie pogrzebowym. Z ciała kobiety nie pozostanie nic poza garścią popiołu.

Wróciwszy do domu, cuchnąc jeszcze dymem, wślizgnął się pod koc, a Angheleddu dygotał przy jego nogach.

Wystraszony tym, że bestia przyjdzie także po niego, chłopiec nikomu nie wyznał, czego był świadkiem. Wmówił sobie, że wszystko to mu

się śniło, ale kobieta w masce byka nie miała najmniejszego zamiaru opuszczać ani jego snów, ani codzienności.

Dręczyła go przez wszystkie następne dni.

Aż do samego końca.

Tak samo nie potrafił już nigdy zapomnieć tajemnej formuły: *Abba non naschet si sàmbene non paschet*.

„Woda się nie zrodzi, jeśli krew jej paść nie będzie”.

2

Kompleks nuragijski Sirimagus, Tratalias, południowa Sardynia, rok 2016

Na Sardynii cisza jest prawie jak religia. Rozległe przestrzenie i wiekowe głusze, z których utkana jest wyspa, mają w sobie coś świętego. Przenikają wszystko: ciągnące się aż po horyzont wzgórza śródziemnomorskiej makii, rozległe połacie pól obsianych pszenicą, równiny porośnięte czystkiem, lentyszkami, mirtem i poziomkowcem, powietrze przesycone ich odurzającą wonią, góry wznoszące się nieśmiało ku niebu, jakby bały się je zbeczczyć, omiatane przez mistral płaskowyże i pastwiska karmiące stada. Nad wszystkim tym ciężko przenikliwa cisza. Człowiek nie dąży do zdominowania przyrody, bo żywi wobec niej bojaźń – wrodzoną, zaszczerpioną mu we krwi, pradawną. Instynktownie rozumie, że natura rządzi losami ludzi i zwierząt, i szybko uczy się ją poznawać oraz tłumaczyć na zrozumiałym dla siebie języku. A cisza, jakkolwiek dziwne może się to zdawać, przemawia, poucza, napomina. Tych zaś, którzy nie okazują jej należnej czci, przeklina.

Moreno Barrali stał na szczycie wzgórza Sirimagus, patrzył na ścielącą się niżej, pogrążoną w nierealnym spokoju równinę i próbował wydobyć z tej ciszy hipotezę. Powiedziano mu, że dziewczyna zaginęła w tej okolicy. Płaszczyna usiana była nuragami, grobowcami olbrzymów, megalitycznymi murami i pozostałościami starożytnych sardyńskich osad. Ezoteryczne miejsce, ośrodek starożytnego kultu,

tak jak we wcześniejszych przypadkach. Tyle tylko, że nie doszło tam do żadnego morderstwa. Po informacji o zaginięciu dziewczyny mężczyzna wraz z miejscowymi pasterzami i rolnikami przeczesał tu każdą piędź ziemi, ale nie znalazł żadnego śladu.

„To jeszcze nic nie znaczy. Dziewczyna zaginęła dwa dni temu – pomyślał. – Ktokolwiek ją zabrał, mógł zatrzeć wszystko”.

Tylko że sam w to nie wierzył: we wcześniejszych przypadkach ciała były pozostawione na widoku. Poza tym nie nadszedł jeszcze *sa die de sos mortos*, Dzień Zmarłych. Czuł, że Dolores wciąż żyła. Została gdzieś ukryta w oczekiwaniu na tę przekłętą noc.

Rozejrzał się. Dzień był pogodny, choć do końca października został niecały tydzień. Chmury rzedyły powoli na nieskazitelnie błękitnym niebie. Powietrze było łagodne i czyste. Słońce jaśniało żółtokremowym blaskiem.

Poszukał wzrokiem niewielkiego zalewu.

„*Sirimagus* oznacza jezioro maga albo diabła”, pomyślał. Miejscowi ludzie od pokoleń twierdzili, że zdarzały się tam nadprzyrodzone zjawiska. „Czyżby wybrał to miejsce właśnie z tego powodu?”

Rozważania przerwał mu nagły atak kaszlu, który zgiął go wpół; poczuł się tak, jakby w jego kiszki zalegał papier ścierny. Ból przypominał mu o spotkaniu, na które musiał się stawić. A już był spóźniony. Popatrzył ostatni raz na równinę, szukając jakiegoś szczegółu, który mógłby zdradzić, co stało się z dziewczyną, ale na próżno. „Może się mylisz. Może znikła, bo chciała, i nie ma nic wspólnego z tamtymi dziewczynami”, powiedział do siebie.

W rzeczywistości doskonale wiedział, że tak nie jest.

A raczej nie wiedział, lecz przeczuwał.

Dołączył do grupy, z którą wszedł na wzgórze, i wszyscy razem zeszli na dół.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova